

PRENUMERATA

W MIEJSCU:

rocznie rs. 3 kop. —
półrocznie rs. 1 kop. 50
kwartalnie rs. — kop. 75
Cena pojedynczego numeru
kop. 10.

Z PRZESYŁKĄ:

rocznie rs. 4 kop. 40
półrocznie rs. 2 kop. 20
kwartalnie rs. 1 kop. 10

TYGODNIK

OGŁOSZENIA.

za 1 razowe po kop. 7 za wiersz
petitu lub za jego miejsce.
za 2-6 razowe po kop. 4 za
wiersz.
za 7-10 razowe po kop. 3 za
wiersz.

CENA OGŁOSZEŃ
na pierwszej str. podwójna.
Roklany po 10 k. za w. petitu.
Cena ogłoszeń zagranicznych po
10 kop. od wiersza.

Biurow Redakcyi i ekspedycja główna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują: Redakcja, obiedwie księgarnie, oraz po zagranicami guberni wyłącznie agentura „Rajchman i Frenkler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Piotrkowie Biuro Redakcyi i obie księgarnie. W Tomaszowie rawskim księgarnia J. Mazaraki—prócz tego,
w Częstochowie W Gasztecki. „Lasku W. Grass.
w Będzinie „Janiszewski Stan. w Łodzi „Janiszewski Leopold
w Brzezinach „Krzemienieński Jul. w Radomsku „Olszewski Michał
w Dąbrowie „Tomaszewski J. w Rawie „Szewłodziński.

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

Magazyn Ubiorów Męzkich KORNELEGO WILCZYŃSKIEGO w „Petrokowie“

w domu W-go Zaleskiego przy ul. „Petersburskiej.“

Zaopatrzony został na sezon jesienny w wielką obfitość najświeższych, tak krajowych jak i zagranicznych materyjałów, oraz gotowych ubiorów.
(7-2)

RUCH kalendarz Encyklopedyczny, na rok 1887 obejmuje: CZĘŚĆ kościelną, astro-nomiczną, meteorologiczną. POLITYCZNY UKŁAD ŚWIATA, KOŚCIÓŁ rzymsko-katolicki w Rosyi, Kr. Polskiem i pogranicznych prowincjach. OŚWIATA i szkoły (wyszczególnienia i warunki przyjęcia do zakładów w cesarstwie i zagranicą). INSTYTUCYJE NAUKOWE, LITERATURA. (Życiorysy wszystkich literatów żyjących polskich). Prasa polska, SZTUKI PIĘKNE (życiorysy wszystkich malarzów, rzeźbiar-zów). ZNAJOMOŚĆ KRAJU (krótki przewodnik po miastach i okolicach). INSTYTUCYJE DOBRO-CZYNNNE — HYGIENA PUBLICZNA (Wody mine-ralne, stacje klimatyczne, letnie mieszkania). PRZEWODNIK PRAWNY. INSTYTUCYJE KRE-DYTOWE i asekuracyjne PRZEMYSŁ — HANDEL KOMUNIKACYJE. INSTYTUCYJE ŻYCIA TOWA-RZYSKIEGO. Cena 25 kop. Z przesyłką kop. 30. Wyjdzie w listopadzie, zamawiać należy wcześniej. Przegląd Tygodniowy ulica Czysta № 4. (4-3)

Potrzebny jest jak najprędzej do Apteki w Lubelskiem,

UCZEŃ FARMACJI,

z roczną praktyką, kwalifikacyją i dobrą konduktą, na warunkach dla niego korzystnych. Bliższa wiadomość w Redakcyi „Tygodnia“. (2-2)

Do sprzedania na dogodnych warunkach, w „Petrokowie“, blisko stacyi osobowej

Posesya Nr. 519

dawniej istniejąca jako fabryka narzędzi rolniczych Korzeniowskich, dziś zaś, jako fabryka naprawy tychże narzędzi. Bliższych szczegółów udzielić może Zarządzający posesyją, Romuald Wysocki w „Petrokowie“. (3-2)

Ogród owocowy i warzywny

mający przeszło 4 morgi, pod miastem fabrycznem do wydzierżawienia od 1 listopada r. b. na lat 3. Wiadomość u właściciela w Bia-łobrzegach, przez Tomaszów Rawski. (7-7)

W kwestyi kredytu osobistego.

(odpowiedź panu A. Z.).

P. Feliks Stawiski, zdolny, zasłużony i znany z miłości dobra powszechnego obywatel pow. łaskiego, wzywał w „Tygodniu” ludzi dobrej woli a majątnych, do założenia instytucyi finansowej, dającej tani kredyt upadającemu rolnictwu. Z powodu tego wezwania i jakby na potwierdzenie zdania „l'art est difficile, la critique est aisée” wystąpił p. A. Z. w temże piśmie z wykładem ex cathedra elementarnych zasad ekonomii politycznej. Wierny zasadom szkoły manchesterskiej, wyłożył nam p. A. Z., że finansowe instytucyje nie są towarzystwami dobroczynności, że nie w imię filantropii do pieniędzy się przemawia, lecz w imię zysku; wykazał przytem naszemu społeczeństwu zacofanie i nieumiejętność wzięcia się do dzieła, gdy o stosunki ekonomiczne chodzi.

Nie przeczę, ażeby p. A. Z. nie miał po części racyi; przyznaję, że jego poglądy nie są pozbawione podstaw nauką i doświad-czeniem stwierdzonych; lecz cóż za rezultat dodatni jego krytyki i wystąpienia? P. F. St. nawoływa ludzi dobrej woli do czynu, w głosie jego czuć drganie gorącego serca. Choćby to miał być głos wołającego na

puszczy, podnoszenie go będzie zasługą, bo budzi śpiących, bezmyślnych do myślenia zachęca, przygotowawa rolę pod ziarno, które kiedyś w nią rzuconem zostanie.— P. A. Z. krytykuje, rozbiera, gani, podko-puje, dobre chęci ziębi, lecz nie lepszego nie wymyślił, praktyczniejszych dróg nie wskazuje, do czynu nie nawoływa. Czy zresztą p. A. Z. jest pewnym, że jego wy-znanie wiary ekonomicznej jest nieomylnem? Czy nie znana jest panu A. Z. reakcyja zwycięzko walcząca w życiu i w nauce prze-ciwko zasadom jego wiary ekonomicznej? Finansistów, kierujących się zasadami zapo-trzebowania i podaży pieniędzy, i na tej podstawie normujących swe żądania słusznego wynagrodzenia za wypożyczony kapitał, mamy na ziemi piotrkowskiej aż nadto wiel-u, solidarnie z sobą związanych, jak jeden mąż działających. Finansisci ci ścinają drze-wa, aby sobie ułatwić obranie z nich owo-cu. P. F. St. poszukuje do założenia in-stytucyi kredytowej ludzi, którzyby obok pieniędzy, posiadali sumienie, obok chęci słusznego zysku i poczucie dobra publicznego. Kapitałów między nami nie brak, lecz martwe leżą w rękach ludzi ospałych; bu-dzenie takich ludzi jest zasługą.

Nie znam pana A. Z., nie domyślam się nawet, kto się po za temi literami kryje, lecz widzę, że mu pióro jest posłusznem i, że nie zbywa mu na bystrości rozumu. Gdyby krytykę był zwrócił nie do pod-stawy projektu czyli raczej wystąpienia pa-na F. St., lecz do szczegółów wykonania, mógł był oddać przysługę społeczeństwu naszemu, a zdolności nie byłoby mu brakło potemu. Mógł p. A. Z. zwrócić uwagę, że sama jedna filantropija jest zbyt kruchym materyjałem do fundamentów mających dźwigać instytucyję finansową; mógł wy-kazać, że wobec spokojnego dochodu 5% od list. zast. słusznem by było wymaganie ludzi pieniędzy 8%, co by wraz z koszta-mi administracyi i dla pokrycia możliwych strat wysokość procenta do 10% podniosło; mógł udowodnić, że kapitał obrotowy łatwy, nie wymagający wielkich zachodów w po-zyskaniu, nie byłby w ten sposób za ko-sztownym, a w każdym razie dobrodziej-stwem wobec 24%—36% i wyżej, jak się teraz praktykuje. Należało się rozpisac o tem, jak potrzebną dla założycieli podobnej instytucyi finansowej byłaby znajomość do-kładna terenu przyszłych operacyj, aby od-dzielić tak zwanych przez I. J. Kraszew-skiego „morituri” od mogących żyć. W in-teresa należałoby wchodzić tylko z ludźmi pracy, choćby na razie położenie ich mają-tkowe było narażonem, bo tacy zawsze wy-płyną, nie narażając cudzego kapitału,—do nich przyszłość należy! Ludzie niechęcy zrozumieć słów poety:

„Trzeba z żywymi naprzód iść
po życie sięgać nowe,
a nie w uświętych laurów liść
z uporem stroić głowę;“

ludzie w zewnętrznym blihtrze zakochani, próżniacy, pankowie i pół pankowie, nie-

Powieść Elizy Orzeszkowej Z RÓŻNYCH SFER

Część I.

wyszła z druku nakładem S. Lewenthala, ja-ko tom 32-gi taniego zbiorowego wydania dzieł tej sławnej autorki i jest do nabycia we wszystkich księgarniach (2-2)

Winogrona kuracyjne
przychodzą codziennie świeże do handlu

W. Zaleskiego

w „Petrokowie“

(6-3)

NAUCZYCIELKA

może udzielać lekczy muzyki, języków pol-skiego i francuzkiego u siebie w domu i na mieście.

Wiadomość bliższa w księgarni W-go Jędrzej-wicza. (3-2)

Stancyja dla ucznia w War-szawie u nauczyciela gimnazjum Bro-nisława Bienkowskiego Sienna № 18.

(7-3)

WĘGIEL KAMIENNY

na cale wagony po cenach kopalnianych można zama-wiać w księgarni F. Jędrzejewicza. (2-2)

pewną stanowią kliencie; z nimi stosunków unikać należy, choćby na razie hipoteki ich nie zbyt były obciążone, bo z czasem zawiodą, kłopotu nabawią; upaść oni muszą—jest to tylko kwestya czasu.

Omawiając projekt pana Stawiskiego, wykazując trudności na zawadzie stojące i sposób ich ominięcia, obliczając zyski widoczne z przedsięwzięcia rozumnie podjętego i stosunkową łatwość wykonania go dla człowieka zamożnego, byłby p. A. Z. się przysłużył;—z jego zaś krytyki, choć zręcznie napisanej, wieje zgryźliwość, doktrynerstwo, pesymizm, a uczucia to ujemne, destrukcyjne. Optymizm pana F. St., choćby nawet grzeszył niedokładnością w projektaach, stokroć mi jest miłszym, a dla społeczeństwa pożyteczniejszym, bo buduje i do czynu prowadzi.

Z. B.

Przyp. Redakcyi. Naszem zdaniem, pan A. Z. bynajmniej nie miał zamiaru polemizować z p. F. Stawiskim,—przeciwnie, artykuł swój rozpoczął z góry od oświadczenia, że obadwa projekty podane przez pana S. są dobre. Starał się tylko wykazać, że jeśli są one dobre, urzeczywistnienie ich potrzebne, a mimo to nie wchodzi w życie, wina to samej strony interesowanej t. j. ziemian. Pozatem oba wzmiankowane artykuły, panów S. i Z., niemniej i dzisiejszy pana B., nie są niczem więcej, jak nawoływaniem do czynu, zabarwionemi indywidualnością piszących. Wszyscy trzej chwycili za pióro ożywieni miłością dobra ogólnego—i to jest ich niezaprzeczoną zasługą; kto jednak stanie teraz do czynu... tego zasługa będzie daleką większą!

Listy z Łodzi.

I.

Wrzesień 1886 r.

Jeżeli żądni jesteście wieści z naszego fabrycznego grodu, to żadna może chwila z historii Łodzi nie była dotąd tyle ciekawą i dającą więcej sposobności do zanotowania niezmiernie ważnych dla społeczeństwa

naszego objawów—ile obecna. Jak wam to już wiadomo, dzięki kilkunastowerszowej odezwie komendanta straży ogniowej pfaffendorfskiej (nomenklatura „Księży młyn” ochrzczona przez Niemców „Pfaffendorfem”) albo inaczej Schejblerowskiej—odezwie, jak na młodego chłopca, dorzecznie zresztą napisanej, powstała w miejscowej prasie walka, wybornie ilustrująca z jednej strony usposobienie gościnnie przyjętych przez nas Niemców, z drugiej zaś ciężki zawód, jakiego doznał „Dziennik Łódzki” na polu niefortunnie podjętej przez siebie asymilacji nadsprejskich wychodźców.

Nie przypuszczając, by wspomniana wyżej odezwa do woźniców łódzkich wyszła z *Królestwa bawelnianego*, zasymilowanego już według mniemań „Dziennika Łódzkiego”, ten ostatni śmiał nazwać ją sfałszowaną, że nosiła urzędową cechę, do której tylko straż miejska miałaby poniekąd prawo. Tu *casus belli*. Komendant pfaffendorfski, jako autor odezwy, poczuł się grubo obrażonym, a skoro on—wielki komtur—brew zmarszczył, cały obóz knechtów z pod Grünwaldu zacisnął pięście i zagładę naszemu plemieniu okrzyknął.

Byliśmy tu pewni, że pułk strzelców pruskich (Schützenverein) wymaszeruje na Piotrkowską i oblegnie hotel Hamburgski. Skończyło się jednakże tym razem na wojennym tylko zapale ze strony krzyżaków i na wypowiedzeniu jawnie, z wrodzoną im arogancją, antypaty do miejscowej ludności polskiej. Rezultat w każdym razie znakomity, bo rozprasza wszelkie marzenia, do których usposabiał nas „Dziennik Łódzki”, sprowadza rzecz na grunt właściwy—demaskując naszych nieprzyjaciół; a lepszy jest nieprzyjaciół jawny od pozornego przyjaciela. Ale demaskując się wobec nas, przybierają oni jednocześnie domino innej barwy, w przypuszczeniu, że pod jego osłoną wolni będą od dalszych pocisków przeciwnika i, że rola „farbowanego lisa” wywoła w odnośnych sferach zdumienie, nie pozwalające dopatrzeć się rzeczywistości. Na szczęście fakty, nieublagane fakty wska-

zują wyraźnie na sztucznie naciągniętą owczą skórę na ciele podstępnego Jakuba.

Lojalność niemiecka, gdyby takowa istniała, niemogła by ani dziwić ani do szczególniejszych zasług być policzoną—byłaby raczej prostym następstwem najrozmaitszych przywilejów i ustępstw, jakich doznają. W poznańskim—bez znajomości języka niemieckiego albo bez tłumacza, dwóch słów w urzędzie jakimkolwiek zamienić nie można; tu wszelkie miejscowe władze z interesantem niemiecem silą się na niemiecką rozmowę. Tam rozpędzają w niewinnych celach związane stowarzyszenia studenckie—tu istnieją całe pułki umundurowanych, dobrze uzbrojonych, no i nieźle wyćwiczonych strzelców pruskich. Wzajemnie zaś za tego rodzaju przywileje, owi lojalni Niemcy na decyzje władz miejscowych przesyłają apelacje do Bismarka; przepelnieni wdzięcznością dla rządu, nie czują się w obowiązku przyjąć tutejszego poddaństwa, bo to zmusiłoby ich do służby wojskowej, którą swojej ojczyźnie należą poświęcić. Ta sama znów lojalność dyktuje im wbrew Ukazowi 1864 roku wyludzać podstępnie włościańskie siedziby, omijać wszelkie przepisy, demoralizować urzędników.

Ustępstwa, czynione Niemcom, nie od wczoraj się datują, bo za autonomicznych rządów Królestwa Polskiego, w chwili gdy zauważono potrzebę rozwinięcia przemysłu krajowego i ucieknęto się do szczęśliwego środka sprowadzania tu niemieckich fabrykantów, między warunkami, pod jakimi wolno im było osiadać w Królestwie Polskim, nie istnieje ani jeden uderzający w ich narodowość. Niema tam mowy o uczeniu dzieci w polskiej szkole, o przyjęciu tutejszego poddaństwa, lub o jakichkolwiek bądź obywatelskich obowiązkach względem kraju, w którym oziębli mieli. „Oto ziemia nasza mała zamieszkała, a przemysł w kolebce—wołali ówczesni mężowie stanu—pójdźcie i posiadźcie ją darmo, przeniescie tu swoje fabryki i bądźcie łaskawi robić fortuny, a my cieszyć się będziemy, że ma-

ELJEN

Obrazek z bruku peszteńskiego.

(z Tygodnika „Kraj”)

Przed wspaniałym dworcem centralnym kolei żelaznej w Peszcie, roily się tego dnia nad wieczorem niezliczone tłumy publiczności; był to bowiem dzień, w którym goście galicyjscy mieli przybyć w odwiedzinę z powodu wystawy peszteńskiej. Z niecierpliwością, właściwą butnym madyarom, oczekiwano zapowiedzianych sąsiadów z za Karpat. Tłum przed dworcem, w miarę zbliżania się godziny przyjazdu, rosł coraz bardziej i gwarem napelniał powietrze.

W pośród ciekawych, stał człowiek, mogący mieć około czterdziestu lat, ubrany w odświętny strój robotniczy. Rysy jego twarzy wskazywały wyraźnie słowiańskie pochodzenie. Co więcej—gdybyś mu zdjął z głowy madyjarską czapkę, a wsadził na nos *kapalusz* polskiego chłopca, dał mu świętę i podstrzygł wąsy, postawione z węgierską w górę, poznałbyś w nim swojego rodaka.

Bo też to nie był żaden madyar, tylko Wojtek Krztuń z pod Krakowa, we własnej osobie. W Mogielnicy znano go niegdyś jako walnego chłopaka, ale dzisiaj, z dawnego Wojtka ani śladu nie pozostało i ani by go poznał ten *hytel Abramski* z Czarnej, którego natłukł wtedy w nocy, gdy siedł z paniczem na wojaczkę. Chciał ich poganin zdradzić—ale niedoczekanie jego!

Hej, Boże, Boże, ileż to już lat temu? Ha! pewnie będzie więcej niż ze dwadzieścia *roków*, a tak się wydaje, jakby to

wszystko było wczoraj. Niemało się Wojtek nawlodził przez ten czas! Gdy uciekł *swabowi* z Königraetzu, gdzie ich dużo siedziało—poszedł aż ku turkom samym, het przez Wołoszczyznę; widział też i rumuńską i siedmiogrodzką ziemię, i napatrzył się tam dziwów—no! Ale zawsze pozostał Wojtkiem, dobrym do roboty i pocziwym, lecz głupim. O madyjarach ma krótkie zdanie: „że są one porządne ludzie”, tylko to bieda, że nie po polsku nie gadają i żaden nie nazwie go po imieniu, ino *baraton Lengyel*, co niby na język mogielnicki znaczy: brat Polak.

Gdy teraz widzimy Wojtka przed dworcem, na jego dobrodusznej, trochę głupkowatej twarzy, maluje się nie sama tylko ciekawość, jak na innych twarzach. Te grube, trywialne rysy, napiętnowane niedolą i poniewierką—ożywia jakiś dziwnie uroczysty nastrój. Wojtek ciągle to pogląda niecierpliwie ku drzwiom dworca, to nasłuchuje sygnałów, to znowu zapada w zadumę, uśmiecha się pod wąsem i powtarza półgłosem: Polak! Polak!

Nikt na niego nie zwraca uwagi, bo kogo może obchodzić ten głupkowato uśmiechnięty chłop polski, przebrany jak na maskaradę, po węgiersku. Ale też i Wojtek wzamian na nikogo nie zważa. Co mu tam madyjary! On niezadługo ma zobaczyć swoich, a co pomyśli o tem, to mu aż ciarki chodzą po grzbiecie, a coś go szarpie za serce i po raz setny zapytuje: „Wojtek, paie ścierwo, a czemu się ty tu objasz, przecie ty z Mogielnicy? Oj, głupil głupil nie lepiejby tobie było, zamiast tutaj kuć młotem z madyjarami i nie słyszeć polskiej mowy—tam, u swoich iść z kosą w jasne pole i śpiewać sobie: „Oj, dana, moja da-

da!” Dyc dla ciebie chleba nie zbraknie, a co u swoich, to u swoich. Tam i żyć lepiej i umrzeć lepiej. Wojtek! pamiętasz ty dworskie okężne, a gorzałkę, a skrzypeczki, a miesiącek na niebie—co? Pamiętasz niedzielę w Mogielnicy, jakes sobie z Kruczkiem legał w polu pod gruszą, albo z dziewczętami szedł do lasu na orzechy? Gdzież ci lepiej Boże słonko świeciło? co?”

I zapytywał siebie, dlaczego on tutaj? ale nie mógł sobie na razie odpowiedzieć i wie tylko to, że niech ino polaki przyjadą, to on rzuci wszystko do *pierona* i pojedzie z nimi. Bo i dla czegoż nie miałby pojedzieć? Niegdyś bał się *swaba*, aby go znowu nie wsadził do Königraetzu i dlatego poszedł na tułaczkę—ale teraz! Bogiem a prawdą, Wojtek już dawno chciał się dostać do swoich, ale niby to tak łatwól A jakże! Gdy gęba zacznie wrzeszczeć: „jesć” to z nią ani rady, i człowiekowi wszystko inne wyleci z głowy.

Kiedy się Wojtek przywłókł z tułaczki do Pesztu i dostał do fabryki, to mu się wydało jak w raju po tej poniewierce, której zaznał. Został więc rok, dwa, trzy—i kuł z madyjarami od świtu do nocy, pracował tylko na gębę, odkładając z dnia na dzień wybranie się do swoich. A przez tyle lat będąc między obcymi, ledwie że mowy polskiej nie zapomniał. Szczerze powiedziaławszy, jemu się nieraz zdawało, że on także jest madyjarem. Gdzie on tam myślał o swojej narodowości! Ciemny a zgnębiony ciężkimi kolejami losu, umysł jego zamarł, zasklepił się, zastygł.

Czasem tylko, bardzo rzadko, biegl Wojtek wspomnieniem do Mogielnicy, wywijał w karczmie oberka, trząsł z drzewa śliwy za przelazkiem, albo z dziewczętami

my przemysł w kraju! I stało się zadość patrijotycznemu żądaniu mężów: wyrosły grzyby niemieckie na nieco szwankującym cieple polskim. Przemysł jest — tylko nie nasz. Łysina przemysłowa pokryta została pernką niemiecką, nie mającą z ciałem łysiego żadnego organicznego związku. Warczą koła, dymią kominy, ale po dziś dzień z niemieckich i coraz więcej z niemieckich obozowisk; młodzież zaś nasza z patentami w rękę, to z realnego gimnazjum, to ze szkoły rzemieślniczej łódzkiej, to wreszcie z technicznej szkoły kolei warszawsko-wiedeńskiej, setkami żebrze przyjeżdża na praktykę u drzwi fabrykantów — i odepchnięta jak pariasowie z niczem odchodzi. „Jaką mamy gwarancję, że zechcą uczciwie pracować?” — mówi fabrykant p. G.

Nietrudno się dopatrzeć rzeczywistej przyczyny niedopuszczania inteligentnego miejscowego żywiołu do fabryk niemieckich. Wszak w miarę zajmowania przez polaków miejsc tak zwanych „majstrów” mających znaczny wpływ na robotników, paraliżowaną by była systematycznie rozwinięta praca w kierunku germanizacji naszej ludności. Robotnik jako zależny od majstra będącego jego kontrolerem i sędzią wymierzającym kary, własnym nawet uwolnić go od zajęcia, musi być uległym majstrowi, musi przemawiać jego językiem, musi kryć się ze swoją, zniechęconą przez pana majstra narodowością. I dlatego też pomiędzy robotnikami w Łodzi, dziesiątki tysięcy ludności jest takiej, która pod tym wpływem zatraciła najzupełniej cechy miejscowego pochodzenia, przestała mówić językiem krajowym. Dzieci ich nie słyszą już tego języka, a nawet nazwiska zmienione nietrudno spotkać. *Vertschizky* zamiast *Wietrzycki*, *Schwiderek* zamiast *Świderek* itp. Jeden z robotników, znany obecnie pod nazwiskiem *Zimmermana* przyznał mi się, że ojciec jego nazywał się *Ciesielski*, ale on chcąc pozyskać większe uznanie u swoich przełożonych, nazwał się *Zimmermanem*, „bo to nie wypada, — mówi — w niemieckiej fabryce nazywać się *Ciesielskim*.”

śpiewał w kościele suplikaacje. Od ołtarza biły kłęby wonnego dymu, brzęczały dzwonki i grzmiąły organy. A wśród dymu, zieleni, błyszczał w ołtarzu jak słońce Przenajświętszy Sakrament. Wojtek padał wtedy na twarz i śpiewał z pełnej piersi: „Święty Boże, święty mocny”...

Rzadko się to jednak zdarzało i Wojtek żył nie lepiej, jak jego *Kruczek* w *Mogielnicy*. Ale na szczęście, miał on pod lewym żebrem coś takiego, może inkluza, co mu nie dawało zaprzepaścić się ze szczętem. I teraz, gdy w *Pesce* zaczęto mówić o zapowiedzianym przyjeździe polaków i czynić przygotowania, strach jakie słowa usłyszał Wojtek z pod lewego żebra. Najprzód wjechało ci na niego okrótne z góry, a potem niby proboszcz *mogielnicki*, kładł mu coraz delikatniej choć dokumentnie do głowy, że jest z niego skończony bydle, skoro pozwala, aby *madyjary* więcej się cieszyli przyjazdem polaków, niż on — *Wojtek Krztuń* z *Mogielnicy*.

Tego tylko potrzeba było. Z każdym dniem więcej zaczęła ścisnąć *Wojtkę* za serce jakaś *beskurecja*, tak, że sobie miejsca nigdzie znaleźć nie mógł. Bywało, *madyjary* pokładają się spać i chrapia, on się przewraca na prytezy, ale zamknąć oczu nie może — i widzi przed sobą *Mogielnicę*, krzyż pochylony przy drodze, i dwór i chałupy. Wyjdzie w pole, aż tu mu się wszystko zboże kłania do kolan i mówi: „*Wojtek!* Jesteś wolny chłop, — dam ci za to chleba!”

Uśmiecha się *Wojtek* na tę myśl, i znów słyszy, ja żuraw skrzypi przed chatą, jak stara lipa szeleści, i czuje, jaki smak mają bursztyнки w *Grzegorzowym* sadzie, czuje zapach sianozęci — i wszystko, wszystko!

Czy wobec tego, zamiast dziecinnych marzeń o asymilacji, dla której tyle ofiar się czyni, broni się spraw nieczystych, wmawia się uczciwość tam, gdzie jej nie ma, nie lepiej zużytkować swoje siły na ocalenie tego, co jeszcze jest nasze, a jeżeli już nie zapóźno, na odniemczenie tylu tysięcy ludzi którzy tak niedawno jeszcze po polsku czuli i po polsku mówili?..

Ale wygodniej, a może i korzystniej uwijać się po salonach choćby niemieckich, niżeli zniżyć się do brudnej izby chorego na germanizm polskiego robotnika...

Czeszko.

Wiadomości Bieżące.

— **Spała**, 27 września. (Korespondencja „Gońca Urzędowego.”) Wczoraj wieczorem przybyło tu 250 dzieci włościańskich, uczennic i uczniów szkół elementarnych powiatów skierniewickiego, łowickiego i błońskiego, wraz z nauczycielami nauczycielkami i wójtami gmin. Dzieci wyuczone przez nauczycieli i nauczycielki śpiewały zgodnie chórem, a ubrane były w świąteczne narodowe stroje. Po przybyciu do domu myśliwskiego, dzieci ugoszczone były herbatą, słodyczami i owocami. W południe chór dzieci uszykował się naprzeciw głównego domu myśliwskiego. Najjaśniejsi Państwo wraz z Wielkimi Książętami, Księciem *Sachsem Altenburskim* i osobami należącymi do świty, wyszli do dzieci, które powitały Najjaśniejszych Państwa hymnem narodowym. Przytem ofiarowane były Najjaśniejszej Pani bukiety kwiatów i Najjaśniejszemu Państwu ręczniki i drukowany program śpiewów. Potem chór dzieci wykonał pieśń „*Stawia*” i urywek z opery „*Rogienda*” oraz 15 rosyjskich pieśni narodowych. Najjaśniejsi Państwo raczyli pochwalić śpiew i zaszczyścić pytaniami tak nauczycieli, jak uczniów. Dzieci swobodnie odpowiadały po rosyjsku, przyczem Najjaśniejszy Pan zaszczycił także pytaniami dyrektora orkiestry robotników *żyrardowskiej fabryki*, która to or-

kiestra przybyła wraz z dziećmi dla akompaniowania chórom. Śpiewy zakończyły się hymnem narodowym, pokrytym powitalnymi okrzykami dzieci i zgromadzonego ludu. Następnie chór amatorów śpiewu z *Tomaszowa* wykonał 9 numerów pieśni w języku niemieckim i jedną w rosyjskim „*Kol sławien*”. Po ukończeniu śpiewów Najjaśniejsi Państwo dziękowali śpiewakom, a niektórych z nich zaszczycił rozmową. Potem dzieci włościańskie przy dźwiękach orkiestry robotników *żyrardowskiej fabryki* tańczyły swoje tańce narodowe. Około godziny 3-ej z południa, pożegnawszy się najfaskawiej z dziećmi, Najjaśniejsi Państwo przy dźwiękach hymnu narodowego i okrzykach „*hura*” oddalili się do domu myśliwskiego.

— **Sprostowanie**. *Hrabia Roman Potocki* przegrał w *Wiedniu* nie 100 tysięcy guldenów, jak przez omyłkę *zecer*ską było wydrukowane w przeszłym numerze „*Tygodnia*,” ale 400,000 guldenów!

— **Trzy odczyty** p. *Leopolda Janikowskiego*, „z podróży po *Afryce*,” które zapowiadaliśmy już na tem miejscu, oznaczone zostały na 2, 3 i 4 b. m. października. Odbędą się one w teatrze p. *Spana*. Sprzedaż biletów w księgarni „*F. Jędrzejewicz*” — cena tychże: kop. 50, 30 i 15.

— **Pożyczki**. Od połowy sierpnia do połowy września wypłaciła tutejsza dyrekcja szczegółowa pożyczek na rs. 50,100. Z tego do rąk właściciel 33,300; wierzycielom zaś 16,800.

— **Na licytacji** w tutejszym magistracie odbytej w dniu 27 września, na reparację szkoły miejskiej, od sumy anszlagowej odstąpiono prawie część czwartą. Roboty bowiem ocenione były na 999 rs. 20 kop. a wzięto je za 730 rs.

— **W kwestyi b. domu zleceń** rolników z nad *Warty* i *Pilicy* proszeni już byliśmy kilkakrotnie, aby przypomnieć pp. likwidatorom, że gdy wszystkie domy zleceń w *Królestwie* rezultaty likwidacji ogłosiły — należałoby także zakończyć już i przed-

biednej jego piersi szamocze się wtedy, jak ten ptak w klatce, pragnienie zobaczenia jeszcze raz przed śmiercią *Mogielnicy*. I wdycha *Wojtek*, i zamknąć oczu nie może, a co sobie pomyśli, że już za parę dni zobaczy swoich, bierze go taka radość, że nie oddałby jej nawet za beczkę gorzałki!

Wstaje do pracy rzeźwy, ochoczy — i *madyjary* ledwie go teraz poznać mogą. Dawniej był jakiś ponury, młeczący, a teraz, gdy kuje młotem, ciągle sobie śpiewa, a zawsze jedno: „*Polaki, polaki, oj polaki, polaki*.”

— Czy ten *baraton Lengyel* zwaryjował, czy co? — pytają się *madyjary*.

Ale on, zamiast odpowiadać, śpiewa sobie dalej w takt młota: „*Polaki, polaki*...”

Taki to był *Wojtek*.

Tymczasem na dworcu kolejowym rozległ się sygnał jeden i drugi. Tłumy zaczęły się tłoczyć i huknął pod niebiosa jeden olbrzymi okrzyk: *Eljen!* W *Wojtku* zamarło serce. Chciał krzyknąć z innymi — nie mógł, coś go ścisnęło za gardło. Obnażył tylko głowę i wodził błędnem okiem wkoło, popychany i maltretowany przez tłum. Lecz oto rozwarł usta:

— *Eljen! Eljen!* — wrzasnął i wyrzucił w górę czapkę. *Eljen!* wrzeszczał, jakby chciał wszystkich przekrzyknąć, a z oczu jego spłynęły dwa wielkie strumienie łez, jak podczas wiosennych roztopów płyną wzbране strugi po budzącej się do życia ziemi.

Zaczął się *Wojtek* tłoczyć z innymi. Chciał być pierwszym i myślał, że ma do tego prawo; ale go odrącono, a ten i ów nawet kulakami poeżestował. To go we wściekłość wprowadziło. Z prawdziwie brutalną siłą wdierał się w zbite masy i roz-

pychał krzepkiem ramieniem. Jak taran bił w ten tłum i wyważał go, a z ust nie schodziło mu: *Eljen! Eljen!* Cóż oni go nie puszczają, przecie on idzie do swoich, do *Polaków*. Z drogi *madyjary*, bo lby poprzetrącam! — woła i pcha się dalej, a w myśli ciągle mu jedno: czy też przyjechał kto z *Mogielnicy*? E, pewnie przyjechał. Może *proboszcz*, może *Jewka*, może *dziedzie*, a może... *pachciarz*.

Nareszcie wśród okrzyków zaczęli się podroźni, po skończonej ceremonii przyjęcia, wydostawać na miasto. *Turkot* powozów, wrzask posługiwaczów i antuzyjastyczne okrzyki publiczności — wszystko to łączy się w jedną chaotyczną, ale grzmiącą całość. Ogluszony wrzawą, przypadł *Wojtek* do pierwszej osoby, którą zobaczył. Był to jakiś poważny jegomość; sapiąc, toczył się jak baryłka i wyglądał na galicyjskiego szlachcica, co to panie dzieju, pod kordem — ale boso. W rękę dźwigał podróżną torbę, prawdopodobnie jeszcze po pradziadku, na palcach polyskiwała mu obrączka ślubna i gruby sygnet z krwawnikiem.

— *Eljen!* — wrzasnął *Wojtek* w same uszy tej żywej baryłce i chwycił za rękę swego tłustego rodaka, chcąc ucałować, ponieść mu pakunek do powozu i usłużyć.

Ale jegomość nie zrozumiał tego ruchu, ani też nie mógł się domyślać intencji *Wojtkę*. Drgnął tylko, jak na widok niedźwiedzia, sapnął jak miéch *kowalski* i cofnął dłoń z przestachem.

— Ostrożnie duszko — zawołał z jakimś jowialnym przestachem, pociągając za sobą niemłodą już damę, widocznie żonę swoją. — W takim tłumie nie brak złodziei... To dla nich żniwo...

Wojtkowi aż zakipiowało w głowie. Co?

stawić stan b. domu zleceń w Piotrkowie ogólnemu zgromadzeniu akcjonaryjuszów, sprzedawszy ryczałtowo więcej dającemu resztę należności niezrealizowanych; do czego pp. likwidatorowie na ostatniem zebraniu akcjonaryjuszów zostali upoważnieni. Mamy nadzieję, że za pośrednictwem naszego organu i innych pism pp. likwidatorowie zechcą zawiadomić tak członków Komitetu, jak i akcjonaryjuszów o terminie zebrać się mającego ogólnego zgromadzenia.

— **Gmach** Tow. Kredyt. Ziemińskiego, budujący się w Piotrkowie, stanął już pod blachą. Oprócz sklepień nad kasą i archiwum, które mają być dane jeszcze w tym roku, wykończenie gmachu wewnątrz odłożone zostanie do przyszłej wiosny. O ile sądzić można z tego co już zrobiono, przedstawiać się on będzie poważnie i okazałe, wyróżniając się dodatnio pod względem architektonicznym od reszty budowli piotrkowskich.

— **W Częstochowie** powstały w tych czasach dwa nowe zakłady fabryczne, małe pod względem rozmiarów, lecz należące do Polaków, a mianowicie: p. Jan Waszek, majster kamieniarski, otworzył pracownię kamieniarsko-rzeźbiarską, w której wykonywają się wszelkie roboty budowlane, groby murowane z kamienia, posadzki i różnego rodzaju pomniki z marmuru, granitu, oraz piaskowca; zaś pan Władysław Kokular fabrykę dzwonków elektrycznych, oraz zakład platerowania złotem i srebrem wszelkich zniszczonych przez czas przedmiotów.

— **W mieszkaniu** p. Aleksego Benduskiego, znanego nauczyciela gry na fortepianie, d. 26 b. m. odbyła się wobec melomanów, próba gry fortepianowej uczniów jego i uczennic, która wypadła bardzo szczęśliwie, dając świadectwo ich zdolności i pracy, a zarazem i owocności usiłowań biegłego w swej sztuce i niezmordowanego nauczyciela, który już od lat kilkunastu pracuje na tem polu w naszym mieście.

— **Podatek** od psów ma być pobieranym we wszystkich miastach gubernijalnych,

— **Listy od Redakcyi.**

— **Panu H. W. w Piotrkowie.** I my, Szanowny Panie mamy, zawsze na celu tylko dobro ogółu; dalecy zaś jesteśmy od sympatyzowania z „D. W.”, o co nas Pan zbyt pochopnie pomawiasz. Za uwagi dziękujemy. Wyrażone w nich insynuacje bolałyby nas więcej, gdybyśmy nie byli pewni, że podsytkowała je tylko dobra wola i zbyt może gorąca wiara w obronę przez Niego drogi.

— **Panu W. R. Artykuli** nieopatrzonego podpisem choćby tylko dla wiadomości redakcyi—nie umieszczamy; dajemy dziś zresztą głos w tejże samej kwestyi innemu korespondentowi, który dopełnił powyższego warunku.

— **Z Sosnowca**, jako próbkę niemieckiej arrogancyi, podają nam fakt następujący:

Pan Brusnicyn, inżynier górniczy i członek komisji przemysłowej, rozesłał do wszystkich kopalń i fabryk tutejszego okręgu górniczego kwestyjaryjusz, w którym właściciele obowiązani byli dać odpowiedź; poczem p. B. miał sam objechać fabryki i kopalnie, dla stwierdzenia i ewentualnie dopełnienia danych. Między innymi, kwestyjaryjusz przesłany został zarządowi kopalni w Miłowicach (o 3 wiorsty od Sosnowca), należącej do pruskiej kompanii „Kuznitsky i S-ka.”

Komisya kilkakrotnie zawiadamiała zarząd o przyjeździe swoim i kilkakrotnie niezastawała zarządzającego kopalnią p. Glücksmanna (także prusaka); więc zapowiedziawszy temuż ponowny i ostateczny przyjazd swój na d. 20 z. m., gdy pomimo to, znowu go nie zastała, przeprowadziła w asystencyi naczelnika straży ziemskiej z Będzina z zastępcą pana Glücksmanna, panem Graffem, rozmowę następującą:

— **Pytanie komisji.** Gdzie jest zarządzający kopalnią p. Glücksmann?

— **P. Graff.** Wyjechał za granicę; dokąd i na jak długo, nie wiadomo.

— **Komisya.** Pan, jako zastępujący pana Glücksmanna, zapewne będzie nam mógł dostarczyć niektórych wiadomości o kopalni.

— **P. Graff.** Niestety, nie mogę żadnych dać panom wiadomości, gdyż nie jestem do

tego upoważniony.

— **Komisya.** Proszę nam w takim razie pokazać książki, gdziebyśmy przynajmniej sami mogli wyszukać potrzebnych nam danych.

— **P. Graff.** Książki buchalteryjnie i inne dowody są w biurku p. Glücksmanna, zamknięte, a klucz znajduje się u niego.

Na zasadzie powyższych odpowiedzi p. naczelnik straży ziemskiej spisuje protokół i wzywa p. Graffa do podpisania.

— **P. Graff.** Ja podpisać nie mogę, gdyż nie mam do tego upoważnienia od p. Glücksmanna.

— **Komisya.** Protokół jest spisany z pańskich słów. Według naszych praw pan jesteś obowiązany podpisać go, i ja, naczelnik straży ziemskiej w pow. będzińskim, wzywam pana do tego po raz wtóry.

P. Graff. Ja miejscowych praw nie znam; znam tylko mojego pryncypała, który mi zabronił podpisywać jakiegokolwiek bzdur protokółów.

Naczelnik straży ziemskiej. W takim razie za sprzeciwienie się miejscowym prawom i rządowym władzom tutejszym, zmuszony jestem pana aresztować i sprawę o pańskim postępowaniu wytoczyć przed sędziego śledczego.

I rzeczywiście, chrobręgo prusaka wzięto do kozy i protokół o tem zajściu posłano sędziemu śledczemu w Będzinie..

— **O zgromadzeniach rzemieślniczych** miasta Częstochowy, gazeta „Rzemieślniczo-Przemysłowa” w korespondencyi z tej miejscowości pisze, co następuje:

Najważniejszym stowarzyszeniem z pomiędzy wszystkich znajdujących się tu, jest **zgrupowanie malarzy obrazów religijnych.** Przy zgromadzeniu znajduje się wieczorna szkoła rysunkowa, zostająca pod kierunkiem pana Fertnera. Prace tutejszych artystów widzieć można codziennie na nieustannej wystawie w kramach, pod klasztorem Jasnogórskim. Są to po większej części produkcyje zwane pospolicie „bohomażami.” Nabywają je też wyłącznie prawie właściciele do ozdoby swych domostw. Cza-

on, on?... Wojtek, Krztuń złodziej? Kogóż on okradł i kiedy? Jak na tułaczce nie miał co do gęby włożyć — to szedł bodaj prosio, ale nigdy nikomu nie nie ukradł. Sam *śwab* z Königratzu mówił o nim, że jest głupi jak *stok* — ale ucieży i chwiał!

Sierdził się więc Wojtek na owego jegomościa, jakby ten powinien był wiedzieć, kto on, z kąd i czego chce. Sierdził się zresztą na wszystkich, bo mniej więcej to samo mu się przytrafiło i z innymi podróżnymi.

Wojtek jednak nie tracił fantazyi i dalej opadał przejezdnych. Przystanął do jakiejś młodej panienci.

— **Paniusiul!** — zawołał rozpromieniony — ja... z Polski!

Panienska odwróciła się żywo do swej towarzyszki.

— **Maman...** ten tutaj... *il est de la Polonge.*

— **C'est bien, ma chère** — odrzekła popieszczeni, — ale teraz nie pora na to. Allons!

Popatrzył za niemi Wojtek, machnął ręką i rzekł do siebie:

— **E, to** pewnością będą, jakie *gubernantki* z Polski, co ino jak te w chlewie, ciągiem po amerykańsku gadają: *Uj, uj!*

Tem domniemaniem pocieszony, rzucił się znowu w tłum i jak niegdyś na odpuszcie, pruł ramieniem zbite masy, rozpychał i kłął.

Aż wtem, o mało co nie padł trupem.

Wprost na niego, otoczony dygnitarzami madyjarskimi, szedł jakiś wysoki i otyły mężczyzna, z twarzą szeroką i wielkim owiśłym wąsem, ubrany wspaniale w sam atlas, aksamit i złoto — w polskim stroju, sobolowym kołpaku i świętym kontuszu o zarzuconych z fantazyją wylotach. Z nim

szło jeszcze kilku innych, w podobny sposób ubranych, ale on zdawał się im przywodzić — przynajmniej swoją tuszą.

— **O rany!** — wykrzyknął Wojtek — a to co za jeden? Cy to król, cy co? A już ci pewnie król, bo ma taką kitkę u capki i gębę strasliwie pańską... Pewnikiem *śwaba* wyścigali, albo co?

I tu przypomniał mu się sen, jaki miał tej nocy. Śniło mu się, że był na dziedzińcu w Mogielnicy. Miesiączek jeszcze świecił ale już słabo, bo zorza wstawała krasna. Już też i ptaszki budziły się skoczne, i bociek klekotał, i zdrój szemrał głośniej, a szkapy na pastwisku rażno parskały. Ale Wojtkowi było czegoś niewesoło. Chciał śpiewać — nie mógł; chciał się radować z dzionka bużego — lecz do oczu cisnęły mu się ciągle łzy. Rzucił się wreszcie na ziemię krzyżem i zalał się łzami, a kwiatki chwytaly chciwie jego łzy i piły, jak najlepszą gorzałką!

Tak długo leżał Wojtek. Aż tu ktoś go nagle za łeb pociągnie i krzyknie: „Cóż ty chanie, nie widzisz, jaka pani przed tobą!” Pojrzy Wojtek, a tu przed nim... Najświętsza Panienska, a ten, co go za łeb złapał — to św. Józef. Najświętsza Panienska siedzi z dziećmi Jezus na maćkowej szkapie, którą prowadzi za uzdeczkę św. Józef. A przed nim biegnie jagnię i ciągiem woła: *we, we!*

Upadł Wojtek na kolana i otworzył gębę jak wrota. Najświętsza Panienska patrzy na niego, ale z takim ci słodkim uśmiechem, że aż się człowiekowi niedobrze robi.

— **Wojtek** — powie łagodnie — nie płacz. Jadę od Krakowa, tam wielkie święto, wszystkie dzwony biją i Zygmunt stary —

bo już ani jednego *śwaba* niema w mieście: jednych wyścigali, a innych kazałam zamknąć do chłwa — i kwita. Ruszaj więc do Krakowa i ciesz się!

Ten sen i kitka u czapki spowodowały, że Wojtek, oszołomiony wszystkiem, nie wiedząc co robi, przedarł się przez tłum, stanął wyprostowany po wojskowemu przed owym otyłym kontuszowcem i rzekł:

— **Jaśnie Wielmożny Królu,** melduje się pokornie, co ja jestem z Polski.

Tu urwał i czekał, co na to powie kontuszowiec. Ale „jaśnie wielmożny król” spojrział na niego, jak na waryjata, wzruszył ramionami i poszedł dalej, uniesiony przez tłum.

— **Elyen!** — ryknął niezmiyszany tem przyjęciem Wojtek i zaczął się tłoczyć za „jaśnie wielmożnym królem.”

Szanowny monarcha wsiadł właśnie do powozu. Wojtek wcisnął się między madyarów, otaczających powóz i chciał jeszcze coś powiedzieć — lecz wtem dzielne rumaki ruszyły z miejsca i Wojtek, popchnięty silnie, padł na ziemię pod koła.

„Jaśnie wielmożny król” pojechał dalej, a omdlałego Wojtka podniosła służba..

I było tego wieczoru bardzo gwarnie i szumnie w Peszcie, lał się złoty tokaj i szampan, wygłaszano świetne mówki i ścisłano sobie ręce serdecznie, bo „Polak, węgiel dwa bratanki” — szczególniejszo do szklanki.

A Wojtek leżał w szpitalu i spieczonemi od gorączki usty szeptał:

— **Elyen! Elyen!...**

sem pomiędzy temi „malowankami” znajduje się coś zgodnego z pojęciami o sztuce, lecz z latarką w dzień trzeba szukać podobnych okazów. Porządane byłoby rzeczą, żeby do kolonii malarzy częstochowskich weszły nowe żywioły, zrekrutowane z artystów warszawskich lub krakowskich, którzy wzięwszy do serca sprawę sztuki, zreformowałyby dotychczasowy stan rzeczy.

Po malarzach pierwsze miejsce wśród rzemieślników tutejszych zajmują introligatorzy, których liczba z rokiem każdym się zwiększa. Pracą tą zajęci są nie tylko mężczyźni, lecz kobiety i dzieci, a nieraz cała rodzina majstra bez najmniejszego wyjątku. To też warsztaty introligatorskie przechodzą z ojca na syna, utrzymując się po kilkadziesiąt lat pod jedną i tą samą firmą. Zimową porą, mianowicie od Wszystkich Świętych aż do Wielkiej nocy, introligatorzy głównie zajęci są broszowaniem i oprawą książek do nabożeństwa licząc na rozprzedaż tychże podczas odpustów, które zaczynają się w Wielkim Tygodniu, a kończą po uroczystości Wszystkich Świętych. Nie są to oprawy wykłintne, albowiem lud nasz żąda książek tanich; nie opłaciłoby się przeto zupełnie, gdyby introligator bawił się w piękne okładki, klamry, wyciski i t. p. Nie dowodzi to jednak, ażeby pracownie miejscowe nie były w stanie oprawiać książek elegancko, a nawet zbytownie np. w kość słoniową, szylkred, aksamit, srebro i t. p. Takie bowiem oprawy spotykać się także dają w sklepach i handlach pod Jasną Górą i moge śmiało twierdzić, że nie pozostawiają nic do życzenia. Pomimo to, jeden z tutejszych wydawców przed trzema laty sprowadził pięćset egzemplarzy opraw do książeczek pod tytułem „Pocieszycielka strapionych” aż z Lipska, zamiast popierać miejscowych rzemieślników, którzy mając liczniejsze zapotrzebowania postaraliby się o możliwy rozwój i zaprowadzenie ulepszeń w swoich warsztatach introligatorskich.

Tak malarze jak i introligatorzy są jednocześnie kupcami swoich wyrobów, mieszczących się w kramach drewnianych lub sklepach murowanych, tuż pod fasadami klasztorami. Raz na rok odbywa się licytacja *in plus* na dzierżawę miejsc pod budowę drewnianych tych kramów, oraz wynajęcie sklepów. Stanowiło to do r. 1865 dochód OO. Paulinów, obecnie zaś kasy miejskiej. W kramach tych oprócz książek i obrazów dostać można medali, medalików, skaplerzy, krzyżyków, pierścionków, kolczyków, wyrobów garnerskich, a na wszystkich tych przedmiotach widnieje napis „Pamiętka z Częstochowy.” Sprzedaż w czasie tłumnych zebrań pątników z całego kraju idzie żwawo i pomyślnie dla handlujących; panowie introligatorzy i malarze zacierają ręce z radości; każdy pielgrzym bowiem uważa za konieczne i niezbędne przywieźć jakiś upominek z pobożnej wędrowki, a niejeden zamożniejszy i setki rubli zostawi, zakupując obrazy lub chorągwie do cichego wiejskiego kościółka w swej rodzinnej wiosce.

Wspomniałszy obszerniej o dwóch powyższych zgromadzeniach rzemieślniczych, dominujących tu w Częstochowie wśród innych ludzi pracy, muszę dodać choć w krótkości o pozostałych. Do licześniejszych zgromadzeń należą: szewckie, stolarskie, ciesielskie, mularskie, ślusarskie. Inne rzemiosła posiadają tak małą ilość członków, że nie tworzą zgromadzeń; krawcy zaś, z wyjątkiem kilku, są wszyscy starozakonni. Urządzenia wewnętrzne powyższych korporacji są też same, co w innych miastach prowincjonalnych. Zgromadzenia warszawskie można nazwać wzorowemi wobec nich. Czyż w tem jednak wina, skoro sami rzemieślnicy o ulepszeniach nie myślą?

Co prawda, niektórym z panów majstrów nie więcej do szczęścia nie potrzeba: mając już byt zapewniony na stare lata w postaci

kilku kamienic i gotóweczki, po co zajmować się mają losem biedaków, którym przecież wolno jest również dorobić się własnego dachu. Ze nie wszystkim los sprzyja, to nie ich wina. Niech każdy myśli o sobie. To też tutejsza czeleźdź rzemieślnicza i pracownicy fabryk po większej części tracą czas bezużytecznie, po bawaryjach i restauracjach, które wyrastają jak grzyby po deszczu. Życie w nich wre nie tylko w święta i niedziele, ale i w dzień powszedni. Do kogoż jednak należy zwracać uwagę swoich podwładnych, jeżeli nie do najbliższych ich zwierzchników, jakimi są panowie chlebobdawcy?

Mamy nadzieję, że nareszcie przyjdzie czas oczknięcia się tych panów z letargu, w jakim pozostają obecnie, ze szkoda własną i bliźnich swoich.

— **Z Barnaule**, jedna z prenumeratorów naszych, w liście do znajomych, łaskawie udzielonym redakcyi, opisuje następujący, nader charakterystyczny fakt.

Na wiosnę roku bieżącego, do gubernii tomskiej, wyjechała gromadka chłopów polskich z gubernii radomskiej. Pan Wagnow, pomocnik naczelnika górniczego, zainteresował się żywo nimi, i przypuszczając, że biedaków ostatnia już chyba nędra z ojczyznej kątą tak daleko zapędziła, oddał im całą swoją pensyjną miesięczną (400 rs.) w produktach spożywczych, a dowiedziawszy się, że są rolnikami, rozdzielił między nich spory szmat ziemi. Naszych kmiotków jednak podobne postępowanie bynajmniej nie ujęło: dano im pustkę, a oni liczyli na to, że dostaną i chatę, i las, i rzekę — słowem, że osiadłych Sybiraków wywłaszczą a ich obdział gotowemi sadybami. „Cóż to — mówili — toć to gadali u nas, że byle na Sybir przyjechać, dadzą i chałupę i konia i woly i siano; a my będziemy brać, ile tylko można wziąć.” — Wobec tego oczywiście musieli się wynieść i zawędrowali na Barnaul. Tu, zostali w zarządzie okręgu górniczego polaków, pp. Martini'ego i Krupskiego, którzy znów dali im pracę w fabryce. Cóż, kiedy i to nie na wiele się zdało; — bo nie tylko, że byli do fachowej pracy nieudolni, ale nie chcieli poprostu nic robić: nie stawiali się na oznaczoną godzinę do pracy, opuszczali ją bez pozwolenia, słowem subordynacyi żadnej... Doszło do tego, że zebrzą w Barnaule.

Smutne to bardzo; a niepokojąca także zła wola osób, które siejąc wśród ludu bezasadne wieści, bałamucają go i narażają na wyzbywanie się chudoby na rzecz żydów i niemców i — na ciężki zawód w obczyźnie.

Polemika.

Stanowny Panie Redaktorze! W imię bezstronności proszę Cię o pomieszczenie w twem piśmie kilku słów odpowiedzi na artykuł pod tytułem „Cud Częstochowski.” Autor tego artykułu nie wiadomo z jakiego powodu głosi dla wielu pism wyrok nagany, a ludzi wierzących posadza o złą wiarę, albo wielką prostotę ducha. Pierwsza myśl, jaka się nasuwa po przeczytaniu tego artykułu, jest: w jakim celu był napisany? Czy autor chciał sprostować fakt mylnie przez pisma opisany? Zdaje się, że nie (*) bo w artykule tym nie ma żadnych ku temu danych, gdyż ani w Częstochowie, ani w miejscu zamieszkania panny K. autor nie zbierał wiadomości co do osoby i okoliczności towarzyszących jej uzdrowieniu. Chyba więc, podając w podejrzenie, na mocy przypuszczeń, fakt uzdrowienia, kierowała autorem artykułu chęć zaskarżenia sobie łask „Przeglądu Tygodniowego” bo nawet przybrał imponujący styl tego organu. Ludzie poważnie myślący, zbijając jakiś fakt, występują w takim razie z wiarogodnemi, sprawnymi danemi, — przypuszczają zaś, że fakt uzdrowienia p. K., jaki miał miejsce wobec tysiąca ludzi i był sprawdzony przez zarządzone (jak zawsze w takim razie bywa) śledztwo, jest to zrzęcznie przez p. K. odegrana komedya — jest krokiem bardzo ryzykownym.

Obok tego pan A. S. sam stawia drugie przypuszczenie, iż może p. K. pod wpływem wzruszenia wia-
dzą w nodze odzyskała? Otóż przyjąwszy to drugie przypuszczenie, czy nie zgodzi się p. A. S. aby tego rodzaju uzdrowienie nazwał cudownem? Wszakże podobnego wzruszenia sztuka lekarska wywołać nie jest w stanie, bo jest to wzruszenie nadzwyczajne,

wywołane znajdowaniem się na cudownem miejscu pochodzące z głębokiej i gorącej wiary.

A teraz mogę zapytać, co dało prawo panu A. S. do zakonkludowania artykułu słowy: „rzecz tę wyjaśniamy nie tylko dlatego, aby stawić ją na właściwym, a nie bałamutnym gruncie, ale i dla skarżenia, a co najmniej zawstyżenia ludzi, którzy „działają albo w bardzo złej wierze albo w wielkiej prostocie ducha.” Nie wien rzeczywicie, kto tu działa w bałamutnym kierunku? Czy pisma dbające o wiarę i podające prawdziwe fakty, przyczyniające się do umocowania tejże wiary; czy też autor artykułu, który za pośrednictwem przypuszczeń, nawet uwłaczających godności osoby, stara się przedstawić fakt w świetle niezgodnym z prawdą? Artykuł pana A. S. o jednym tylko dowodnie przekonany, że autor nie tylko złej, ale żadnej wiary nie posiada.

H. W.

(*) Zdaniem naszym, i jak zresztą wskazuje treść artykułu, autor, nie zaprzeczając samego faktu, pragnął tylko wytłomaczyć go ze stanowiska naukowego, gdyż dotychczas był przedstawianym jedynie w świetle wiary. (Przyp. Red.)

NOTATKI POPULARNO NAUKOWE i praktyczne.

— **Torf jako nawóz.** W królewskiej pruskiej stajni w Wickrath, słowem używaną na podściółkę dla koni zastąpiono torfem. Według zapewnień dyrekcji stajni, okazała się ona praktyczniejszą od słomy. Jest przedewszystkiem lepszą dla kopyt koni; konie chętnie w stajni tarzające się mniej się zanieczyszczają przy torfie, który raczej przyczynia się do oczyszczenia sierści. W zastosowaniu do ogrodnictwa okazał się nawóz torfowy ze stajni brany, bardzo korzystnie oddziaływającym na szkółki węglości, a w szczególności na dzikie. Grunt, na którym robiono próby, składa się z mokrej gliny, miejscami ze zwira lub białej gliny, bez najmniejszego śladu obecności próchnicy lub piasku. Masiano więc podobny grunt zasilać nawozem, ażeby go zamienić na więcej przepuszczalny i suchszy. Okoliczni wieśniacy, przed kilku laty nawozu tego od 100 koni stajnię składających, wcale nie cenili, w ostatnich dopiero czasach wzrosł on w cenie. Przypuszczano, iż torf musi być dobrym nawozem z tego względu, że jest bardzo w amoniak bogatym. Torf umiarkowanie do ziemi przy kopaniu lub oraniu dodany, a także przy pikowaniu drzewek po powierzchni ciekawo rozsypany, działał bardzo silnie, nawet podczas największej suszy. Siewki pikowane wyrosły jeszcze piękniej, a gatunki drzewek o twardej bardzo korze, których piękni przez to zwolna grubieją, dochodziły do grubości zwyczajnego, a nawet wielkiego palca u ręki. Rozwój korzeni, a w szczególności włókniстых, był nadzwyczaj bogaty, tak, że stanowiły one jakby najgęstsza plecionkę. Sadzonki pigwy, zła wyrosła na zwykłym nawozie z przyczyny wielkiej suszy, a nawet ginące, prowadzone w nawozie torfowym, wyrosły świetnie. Odkłady pigwy otezone mieszaniną torfu, piasku i szlamu, wyrosły pięknie, ani jedna nie zginęła, a korzenie miały tak obfite, że wyglądały one jak gęste włosy na głowie. Podobnie w szkółkach drzew, o ziemi przy regulowaniu torfem doprawnej, a także przy sadzeniu pojedynczo na miejsca stałe, po doprowadzeniu ziemi podściółką torfową, świeżo posadzone dziczki jabłoni, sliw, gruszy i t. p., pomimo niepamiętnej potem suszy, pięknie wyrosły, i co ważniejsza, w porze oczekowania były w pełnym soku. Podobne korzyści były widoczne przy próbach z uprawą kartofli. Posadzone w ziemi gliniastej, twardej, jakby kamiennej, lecz doprawnej podściółką torfową, wydały bulwy wielkości głowy dziecka, niektóre dochodziły do 15 cali długości, a pod każdym krzakiem znajdowało się takich olbrzymów od 20 do 25 sztuk. Próby z późnemi odmianami kartofli również świetnie się udały, tak, że przy zastawianiu podściółki torfowej z 1/10 morga zebrano około 500 kilogramów, czyli 1250 funtów. Zdaje się, że po otrzymaniu tak świetnych rezultatów, powinni wszyscy hodowcy zamiast słomy używać torfu na podściółkę. Prawdopodobnie nawóz taki będzie korzystny dla wszystkich roślin, gdyż najgłówniej wpływa on na świetny rozwój korzonków włókniстых od których właśnie większej lub mniejszej obfitości i wzrost piękny danej rośliny bezpośrednio zależy.

ROZMAITOŚCI.

— **Z dziedziny mody.** „Gdyby mężczyźni starannie chowali odzież wychodzącą z mody i przekazywali takową pokoleniom, krawcy pomieraliby z głodu” Tak powiada paryskie pismo dla krawców i nie myli się ze względu na najświetniejszy dowód. Oto najmłodniejszą odzieżą dla panów jest obecnie ubiór noszony z czasów dyrektorjatu. Niezmiernie długi stan, bufiaste naramienniki i wąskie rękawy, kołnierzy wysoki i złożony we dwoje, chustka sięgająca uszu! składają się na dzisiejsze modne ubranie. Tym sposobem zmartwychwstała moda pradziadów...

— **De Paris à Berlin.** Taki jest tytuł nowej książki autora „Podróży po kraju miliardów” Wiktora Tissota. Są to jego wakaacje w Niemczech i nowe szkice z jego podróży do Berlina odbytej. Dziesięć lat upłynęło od czasu wydania dzieła: „Voyage au pays des milliards.” Jakie zmiany, co

za" postęp od tego czasu w stolicy cesarstwa niemieckiego! Tissot chciał w tym roku zdać sprawę z tej drogi postępu, którą odbyły Niemcy w tych dziesięciu latach i napisał rodzaj post scriptum do książki, która mu w swoim czasie tak rozgłos dała. Maluje farbami żywymi, duchowo, — jednakże szersze i prawdziwie nowy ten Berlin i Berlińczyków.

— **"Dzienniki petersburskie"** donoszą, że zapadło już postanowienie o zmianie języka wykładowego w uniwersytecie dorpackim. Zamiast języka niemieckiego, będzie wprowadzony do wykładu rosyjski; wszyscy zaś niewładający tym ostatnim językiem profesorowie otrzymają dymisyje.

— **Psycholog angielski** Buking dowodzi, że największa ilość plotkarek rekrutuje się z kobiet niezamężnych po 35 latach i dochodzi do wniosku, że państwo własnym staraniem, w interesie społeczeństwa, powinno je za mąż wydawać.

W tym celu Buking proponuje otwarcie zakładów komisowych, w których na koszt rządu wybieranoby mężczyzn, celem dostarczania małżonków doletnim pannom. Buking twierdzi, że mnóstwo panien tylko dlatego zostaje w dziewiczym stanie, że niema kto nimi się zająć — bo albo matki ich są niedołężne, albo nie żyją. Chcąc tym brakom zaradzić, proponuje instytucję, na otwarcie której na ręce Aldermana w Newcastle złożył 1,000 funtów. O, czemuż my nie posiadamy takiego dobroczyńcy!

— **Wiedenski handlarz win**, p. Reuter, w dniu urodzin cesarza Franciszka Józefa umieścił w wystawie sklepowej ogłoszenie: „Z okazji uroczystości urodzin jego cesar. mości Franciszka-Józefa, upoważniam każdego przechodzącego żołnierza, aby wstąpił do mego handlu po bezpłatną butelkę wina." Pierwsi przechodzący żołnierze z nieśmiałością czynili zadość wezwaniu ofiarodawcy, lecz niebawem wieść rozeszła się między obrońcami ojczyzny i p. Reuter rozdał w ten sposób 700 butelek wina, które wypite zostały za zdrowie i pomyślność austriackiego władcy.

— **Cesarz austriacki**, opuszczając Galicyę, wyśtosował do namiestnika następujące pismo:

„Kochany panie Zaleski! Wobec radosnego wspomnienia, jakie zachowałem z ostatniego mego w tym kraju pobytu, pożądaną mi była sposobność, następczona przez tegoroczne ćwiczenia wojskowe, aby ponownie odwiedzić moje królestwo Galicyi i Łodomeryi. Ponownie też sprawiono mi tę radość, że wszę-

dzie i ze strony wszystkich klas ludności, spotkałem niezliczone objawy wiernego przywiązania.

„Nie mogę tych licznych dowodów szczerzej miłości i lojalnych uczuć, w chwili gdy kraj ten opuszczam, pozostawić bez odpowiedzi; a przeło polecam panu, abyś wszystkim, którzy udział w tem brali, w szczególności zaś mieszkańcom tych okolic, w których obrębie odbywały się ćwiczenia wojskowe, także z powodu ich przyjaznej i pełnej poświęcenia gotowości, jaką wszędzie wojskom czynnie okazowali, oznajmił moje zupełne zadowolenie i moje z głębi serca płynące podziękowanie.

„Wiadomo panu, jak bardzo leży mi na sercu dobro tego kraju i jego mieszkańców. Oby wszystkie życzenia, które z tem łączą najzupełniejszej ziściły się mierze.

Dan na dworcu w Krakowie 15 września 1886 r.

— **Królowa Małgorzata** włoska przybywszy do kąpieli w Courmayeur we Włoszech, zdziwiła się niezmiernie, ujrawszy się samą w budynku kąpielowym. Przysługę tę zrobił jej zarząd kąpielowy, który w tej godzinie, kiedy miała używać kąpeli, zakazał przystępu dla publiczności. Dowiedziawszy się o tem królowa, zażądała zniesienia zakazu „gdyż nie życzy sobie być straszylem dla ludzi, ale przeciwnie, pragnie ich towarzyszyć.”

— **Na plantacyjach** w Krakowie stanie pomnik na cześć Bohdana Zaleskiego. Na cel ten zakupiono „Bojana,” dłuta Welońskiego.

Licytacje w obrębie gubernii.

— W d. 22 grud. (3 stycz.) w sądzie zjazdowym w Piotrkowie na sprzedaż nieruchomości w m. Łodzi 1) przy rogu ulic Cegielnianej i Widzewskiej pod № 1437 od sumy 75,000 rs. 2) przy ulicy Konstantynowskiej pod № 327 od sumy 35,000 rs. 3) przy rogu ul. Nowomiejskiej i Nowego rynku pod № 239 od sumy 85,000 rs. 4) przy ul. Konstantynowskiej pod № 328 od sumy 22000 rs.

— 19 listop. (1 grudnia) w sądzie okręg. piotrkowskim na sprzedaż 1) majątku Paskrzyń (Parzklín w gminie Ręczno pow. piotrkowskim od sumy 10,000 rs 2) majątku Smardzaw A. B. C. w gminie Dobra p-cie Brzezińskim od sumy 9,500 rs. 3) połowe nieruchomości pod № 84 w m. Zgierzu od sumy 1,500 rs. 4) nieruchomości na terytorjum m. Łodzi przy ul. S-go Andrzeja pod №761 a. od rs. 600 i niżej.

— 29 wrzes. (11 paźdz) w urzędzie p-tu Piotrkowskiego na 3-eh letnią dzierżawę propinacyi na gruntach włociańskich tegoż powiatu.

— 24 wrzes. (6 paźdz.) na komorze w Herbach na sprzedaż skonfiskowanego spirytusu od sumy 400 rs.

— 6 (18) paźdz. w urzędzie p-tu Brzezińskiego na budowę nowego parku przy areszcie sądowym w m. Brzezinach op sumy 161 rs. 70 kop.

— 6 (18) paźdz. w kancelaryi leśnictwa olkuskiego na sprzedaż drzewa za sumę 196 rs. 40 kop.

— 23 wrzes. 5 paźdz we wsi Kleszcze na sprzedaż bydła, koni, zboża i innych przedmiotów od sumy 181 rs. 45 kop.

— 27 wrzes. (9 paźdz.) w urzędzie gminy Łekawa na roczną dzierżawę osady Góry Borowskie od sumy 12 rs. 50 kop.

— 6 (18) paźdz. w magistracie m. Częstochowy na dzierżawę w 1887/9 r. 48 sklepów w Nowej Częstochowie.

— 6 (18) paźdz. w urzędzie guber. piotrkowskim na 3-eh letnią dzierżawę dochodu z bydłobójni w m. Piotrkowie od sumy 4240 rs. 90 kop.

— 7 (19) paźdz. w urzędzie p-tu Noworadomskiego na 3-eh letnią dzierżawę dochodu z bydłobójni w m. Noworadomsku od sumy 1842 rs.

— **Ruch pociągów drogi żelaznej na stacyi Piotrków od dnia 1 (13) Maja 1886 roku.**

a) w kierunku od Warszawy do Granicy:	god.	min.	
Kurjerski (2 klasy) przyeh.	12	51	popółnocy.
" " odehodzi	12	56	
Pospieszny (3 klasy) przyeh.	9	51	przed połudn.
" " odehodzi	9	59	
Osobowy (3 klasy) przyeh.	4	4	po południu
" " odehodzi	4	14	
b) w kierunku od Granicy do Warszawy:			
Kuryjerski (2 klasy) przyeh.	2	38	po północy
" " odehodzi	2	43	
Pospieszny (3 klasy) przyeh.	5	40	po południu
" " odehodzi	5	48	
Osobowy (3 klasy) przyeh.	12	44	po południu
" " odehodzi	12	54	
c) Pociąg miejscowy (3 klasy):			
Wychodzi z Piotrkowa	4	45	rano
Przychodzi z Warszawy	11	25	wieczorem.

O G Ł O S Z E N I A.

Skład Węgli
Włodzimierza Sapińskiego
 (Róg alei Aleksandryjskiej)
Ceny
 Korzec węgla kamiennych grubych 240 zł. 85 k.
 Korzec węgla kamiennych grubych na skrzynie 10 koreowe zamknięte (przez Magistrat Warszawski ostemplowane) 83 k.
 Pud koksu (korzec 4 pud) 25 k.
 Korzec węgla drzewnych 1 rs.
Uwaga. Na miasto rozsyła się w koszach półkoreowych wagi 130 zł. (13-9)

Włodzimierza Sapińskiego
Wynajem Pojazdów
 Dom W-go Adama Gołembowskiego wprost Poczty
Karety, Powozy, Bryki, Konie.
Tramwaj do kąpeli
 i na spaceru.
 (13-9)

DENTYSTA
BOLESŁAW SZREDER
 przyjmuje pacjentów codziennie od godziny 9 do 12 przed południem i od godz. 2 do 5 po południu.
 Mieszka w Piotrkowie przez pewien czas, w Hotelu Litewskim № 20. (1-1)

Zakład Drukarsko-Litograficzny
i Skład Papieru
E. PAŃSKIEGO
 w „Petrokowie“.
 Poleca JW. i W. P.
REGESTRA
GOSPODARCZE
Dzienniki najmu, Księgi Kasowe,
Pensyi, Ordynaryi i Udoju Mleka.
Kwitaryjuszce leśne, Kwitki na robociznę,
Druki dla Jeometrów, Sądów, Zarządów
Gminnych, Gorzelni, Browarów i Dystylarni.
 Przyjmuje wszelkie roboty w tenże zakres wchodzące, które spiesznie i starannie wykonywają się.
Ceny umiarkowane.

DOBROŚLAW KLEJNA,
 Adwokat przysięgły wrócił do Warszawy, **Elektoralna 28.**
 (R. i Fr. № 9370) (3-3)
 Podaje się do powszechnej wiadomości, że ogrodnik **Karol Artzig** z Kaszewic, z panną **Anną Hübner** w Waldenburgu (w Prusiech) wstępują do stanu małżeńskiego. (3-3)
 Urząd stanu małżeńskiego w Frejburgu.

W dobrach Żarki
 jest w każdym czasie do wydzierżawienia: **Browar** ze wszystkimi potrzebami akcesoryjami i chmielnikiem 12-0 morgowym, **Gorzelnia** jedyna funkcjonująca na cały powiat Będziński; **Dystylarnia** i fabryka **Octu**. Interesanci zgłoszą się raczą do administracyi dóbr Żarki. (8-3)
 Do dzisiejszego numeru p. t. „Sława”.

POKÓJ
 na pierwszym piętrze od frontu, z oddzielnym wejściem, vis-a-vis cukierni p. Jasińskiego — w każdym czasie do odstąpienia za przystępną cenę. Wiadomość bliższa w Redakcyi „Tygodnia, pomiędzy godziną 3 a 5 po południu, każdego dziennie. (0-1)

MAGAZYN FRANCUZKI
 ul. Hr. Berga 8
 poleca osobom oszczędnym Ekstrakt **„PANAMA”**
 który czyści prędko i dobrze ubranie damskie i męzkie najbrudniejsze, z jakiegokolwiek jest ono materyi, nie psując gatunku i najdelikatniejszych kolorów (kop. 15).
 „PANAMA” czyści także plamy oddzielne nie zostawiając po sobie ani zapachu ani śladu.

„KABYLINÉ”
 najłatwiejszy, najlepszy i najtańszy sposób Paryski do farbowania w domu wszelkiego ubrania (paczka jakiegobądź koloru 35 kop)
 PP. kuponem stosowny rabat.
 (R. Fr. № 9918.) (1-1)

Niniejszem zawiadamia się osoby interesowane, że na skutek zrzeczenia się przez dotychczasowego Agenta Towarzystwa Ubezpieczeń „Rosyja” p. Wincentego Krauz, prowadzenie teje Agentury tegoż Towarzystwa, powierzonom zostało nadal **p. Mieczysławowi Sokolowskiemu** (Dystrybucyja). „Petroków“ ulica Petersburska dom E. Kamińskiej, obok składu Żyrardowskiego. (5-2)

dołącza się arkusz 10 powieści

— Kazalem pana prosic — rzekł prokurator po-
 dając rękę wchodzącemu — aby z nim pomówić o
 jednej ważnej sprawie. Jak widzę, pan prowadził
 śledztwo w sprawie Werszynina. Jest ona właśnie
 terazszana przez pańskiego następcę do morzenia.
 Papełne znasz pan tę sprawę lepiej odemnie i dla
 Zgo chciałem pana zapytac o zdanie: czy to było za-
 bójstwo, czy samobójstwo?
 — Z ręką na sercu — odrzekł młody człowiek —
 widziałem tu zabójstwo, lecz tak tajemnicze, tak sza-
 tansko zregoznie dokonane, że pomimo wszystkich wy-
 sikhów, nie tylko nie mogłem dobiec się prawdy, lecz
 nawet wpasć na jakiś najmniejszy ślad zbrodniarza.
 — A zatem, według pana, umorzenie sprawy nie
 wykrzykuje krytyki?
 — Lub też jest co najmniej przedwczesne, — do-
 dał zapytany, tonem pełnym uszanowania.
 — A zatem zwróć sprawę inkwientowi, celem
 uzupełnienia śledztwa, a panu poruczę dozór nad tą
 sprawą. Chceł pan zwrócić uwagę, że od tego może
 zależeć przyszła pańska karjera.
 Napisałszy rezolucję co do zwrotu sprawy
 prokurator wręczył akta Pietrowskiemu, i zegnając się
 z nim, złożył mu powódzenia.
 Wiadomość o nowym, a tak niespodziewanym obrocie
 sprawy, była dla młodego Werszynina gromem z ja-
 snego nieba. Udał się on niezwłocznie do prokuratora,
 lecz ten przyjął go chłodno i oświadczył mu, że je-
 li jest niezadowolony, to może skarżyć się do senatu.
 Adwokat radził mu ponownie nie podnosić hasła,
 i czekać biegu wypadków.
 Stojąc się do tej rady, młody człowiek zamknął
 się w domu, nie był nigdzie i nikogo u siebie nie
 przyjmował. Nawet Weingart, codzienny dawny gość,
 już od kilku dni nie miał przystępu do Werszynina i nie
 mógł mu wypowiedzieć przykrych słów, jak to miał we
 zwycaju. Jednak, pewnego dnia, pomimo oporu służby,

— 77 —

inkwienta i towarzysza prokuratora Pietrowskiego.
 Nowy inkwient, który dotąd nigdy nie widział Wer-
 szynina, a wiedział że sprawą zajmują się wyższe sfe-
 ry, wziął się do rzeczy bardzo seryjo, i po zwykłych
 wstępnych zapytaniach, zwrócił się do Werszynina z
 pytaniem, które o ile się zdawało, napozór nie miało
 wielkiego znaczenia.

— Panie Werszynin, bądź pan łaskaw powie-
 dzieć, kto i kiedy zawiadomił pana o śmierci stryja?

— Znajomy mój, Mojżesz Weingart — odrzekł to-
 nem stanowczym.

— A dlaczegoż na telegramie, w którym dono-
 sił panu o tem, podpisał się Lenz.

— Nie umiem panu tego wytłomaczyć, lecz i
 wprzód często odbierałem od niego listy pod-
 pisane tem nazwiskiem.

— A teraz — ciągnął inkwient, patrząc w oczy
 badanemu — chce mi pan powiedzieć, czyś otrzy-
 mał w Londynie od Weingarta i inne jakie depesze?

— Nie, nie otrzymałem, — odparł rezolutnie za-
 pytany.

Inkwient powtórzył zapytanie i dodał surowo.

— Odpowiedz ta ma dla nas wielką wagę, i dla-
 tego proszę sobie dobrze przypomnieć!

— Ach tak, tak, a jakże... odebrałem dwie jesz-
 cze depesze, ale tak bezsensowne, że nic z nich nie
 rozumiałem, i dlatego...

— Prosił pan, żeby nie telegrafował o głups-
 twach — odpowiedział sędzia śledczy.

— Tak, w istocie — zaczął się tłumaczyć Wersz-
 zynin — lecz...

— Czy pan nie zechcesz nam objaśnić, co to by-
 ły za głupstwa?

— Przyznam się, że zupełnie zapomniał — od-
 rzekł wzruszając ramionami.

— Jednak pomysł pan dobrze — może sobie
 przypomnisz.

— 80 —

— Tak, tak, zapewne to... ale co tu za samobój-
 stwo! Niech pan temu nie wierzy, to nieprawda!
 Prokurator przetrzął sprawę przejrzał, i jeżeli
 znalazł dostateczną legalsną przyczynę, zwrócić ją ce-
 lem uzupełnienia śledztwa.
 Pani Osina wyjechała z nadzieją w sercu.
 Po jej odjeździe prokurator zabrat się zaraz do
 sprawy. Rozumiał on dobrze, że od jednego poię-
 gnicia piora zależy los rodziny szanowanej powze-
 chnie i mającej szerokie stosunki, że każda omyłka
 ciężko mogła zawazyć na jego urzędowej karjerze.
 Naturalnie pani Osina, w razie nieprzychylniej decy-
 zji poruszyłaby, niebo i ziemię i sprawa byłaby na
 nowo rozpatrywana.
 Spospręższy, ze śledztwo prowadził pierw-
 stkowo Pietrowski, poskaki po niego natychmiast dy-
 kurnego woznego.
 Za chwilę, nowomianowany towarzysz wchodził
 do gabinetu prokuratora.

— Doktor strapił się nie na żarty i razem z po-
 niejantem udali się do pani Osiny.
 Stara kobieta, usłyszawszy o tem, że to, co już
 przywła uważyć za nietykalną własność swej cór-
 ki, może jej się wymknąć z rąk, wpadła w pasję i
 zaojęła płakać, jęczyć, zlorozczyć, lecz jako osoba
 praktyczna, nie tracąc czasu, przebrała się i pobiegła
 do prokuratora, który na szczęście był jej osobiscie
 znajomy.
 Prokurator, człowiek grzeczny, a przytem do-
 świadczony urzędnik, wysłuchał ją z uwagą i wziął
 szyp paczkę spraw, przeznaczonych do podpisu, wyjął
 jedną i przeczytał: „sprawa o samobójstwo rzeź. rad-
 cy stanu, Werszynina” — czy to?
 — Tak, tak, zapewne to... ale co tu za samobój-
 stwo! Niech pan temu nie wierzy, to nieprawda!
 Prokurator przetrzął sprawę przejrzał, i jeżeli
 znalazł dostateczną legalsną przyczynę, zwrócić ją ce-
 lem uzupełnienia śledztwa.
 Pani Osina wyjechała z nadzieją w sercu.
 Po jej odjeździe prokurator zabrat się zaraz do
 sprawy. Rozumiał on dobrze, że od jednego poię-
 gnicia piora zależy los rodziny szanowanej powze-
 chnie i mającej szerokie stosunki, że każda omyłka
 ciężko mogła zawazyć na jego urzędowej karjerze.
 Naturalnie pani Osina, w razie nieprzychylniej decy-
 zji poruszyłaby, niebo i ziemię i sprawa byłaby na
 nowo rozpatrywana.
 Spospręższy, ze śledztwo prowadził pierw-
 stkowo Pietrowski, poskaki po niego natychmiast dy-
 kurnego woznego.
 Za chwilę, nowomianowany towarzysz wchodził
 do gabinetu prokuratora.

— 76 —

odwołał testament i wydziedziczył synowca, nie zwie-
 rzywszy się nawet przed panem o przyczynach swe-
 go postępku; że dalej, Dymitr Werszynin, wyjeżdża-
 jąc zagranicę uważał się za sukcesora i, że do otrzy-
 mania spadku zawadza mu życie starca; że człowiek,
 który dwukrotnie dopuścił się fałszu, przytem czło-
 wiek z gruntu zepsuty, łatwo może się powazyć i na
 inne przestępstwo i że wreszcie, wobec samych tych
 fałszów, które w pewnym, z góry oznaczonym czasie
 musiały wyjść na jaw, koniecznem było dla niego, że-
 by stryj umarł przed ujawnieniem tych fałszów.

— Śmiało, z ręką na sercu, gotów jestem przysiędz,
 że zabójcą nie był nikt inny, tylko młody Werszynin.

— Przecież był on wtedy w Anglii — przerwał
 doktor.

— Tak, był on w Anglii, lecz żądło przezeń za-
 puszczone tkwiło tu — odparł policyjant.

— Żądło?

— Tak, żądło, żądło tkwiło tu! dlatego właśnie
 przyszedłem do pana doktora... Nie jestem specjalistą,
 lecz słyszałem, że są trucizny, działające dopiero po
 upływie pewnego, ściśle określonego czasu.

— Ściśle określonego, nie; lecz są trucizny, któ-
 re działające powoli, powodują śmierć w przeciągu ja-
 kiegoś czasu... Lecz w obecnym wypadku o niczem po-
 dobnem mowy być nie może, narzędziem zbrodni by-
 ła tu strychnina, której ślady wykryłem w żołądku;
 trucizna to działająca szybko, jak kula — 10 do 15 mi-
 nut i po wszytkiem!

— W takim razie przepraszam, że pana amba-
 rasowałem; w planie moim są jeszcze przerwy, dopóki
 ich nie zapelnię, nie będę pana nachodził. Do widzenia.

— Przepraszam, a podpis fałszywy... czy pan
 nie chcesz zebrać danych, aby rozpocząć dochodzenie?

— Co do tego, nie mam żadnych instrukcyj —
 odrzekł agent, ukłonił się i wyszedł.

Kto zabójcą? 10

